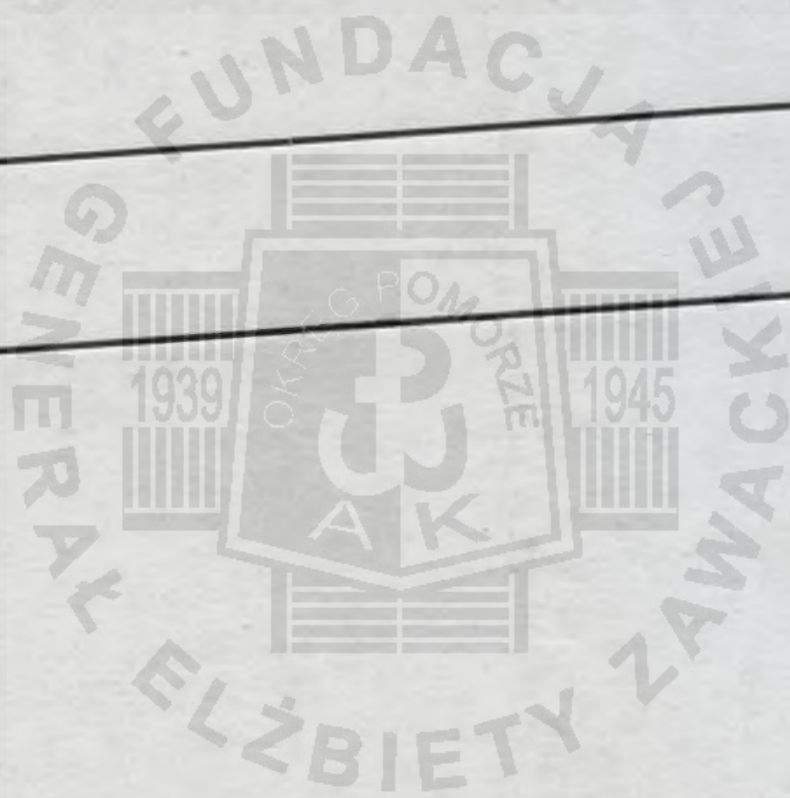


rii Wittek

FUNDACJA GENERAL ELŻBIETY ZAWACKIEJ
Muzeum Pomorskie Armii Krajowej
oraz Wojskowej Służby Polek
0 Toruń, ul. Podmurna 93, tel. 0048 56 65 22 186
e-mail: fapak@wp.pl; www.zawacka.pl



AK
Kraków

††

KOTYNIA-KANIEWSKA
Danuta

ps. Wala

1248/WS
1

**SPIS ZAWARTOŚCI
TECZKI**

1248/USK. Kotyń - Kamińska

Danuta

ps. "Gala"

1./1. Relacja —

1/2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące osoby relatora —

1/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące delatora —

II. Materiały uzupełniające relację ✓ K 12, 5, 21

III/1. Materiały dotyczące rodziny relatora —

III/2. Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3. Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III/4. Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5. Inne —

IV. Korespondencja ✓ K 1, 5, 1

.....

.....

.....

V. Nazwiskowe karty informacyjne : ✓ 1 1

VI. Fotografie —

II. Materiały uzupełniające relację:

Brochure dedykowana pamięci artysty D. Kotyńskiego - Kaniowski
Prof. Elżbieta Zawackiej, pt. „Cisza i pamięć”, Kraków 1999,
s. 20, Msp. oryginał, k. 12, s. 1-21.



10/1

Danuta Kotynia - Kaniewska

WSPOMNIENIA



Kraków - 1994

II/2

Wpłynęło dnia 28.08.98
L.dz. 1722/MSU/98

Danuta Kotynia - Kaniewska



WSPOMNIENIA

Pani Piłk. Prof. Dr. H. dr. Elżbieta Zawackiej
z wyprawami góorskimi szczytów

"Hala"

Kraków, Sierpień 1998r.

Kraków - 1994

ii/3
Korekta i redakcja techniczna:
Zbigniew Markowiak

ii/4
WSTĘP

Brak jakichkolwiek wspomnień na temat walki podziemnej żołnierzy ZWZ/AK 74 p.p. Rejon Łazy zobowiązało mnie do napisania moich wspomnień z okresu okupacji niemieckiej. Uważam, że w ten sposób oddam należny hołd wszystkim Koleżankom i Kolegom. Żołnierzy ZWZ/AK, którzy ze mną walczyli z okupaniem niemieckim, oraz tym wszystkim wspomniałym ludziom, którzy mi w tym czasie pomogli ratować moje życie, nie bacząc na konsekwencje, które groziły im i ich rodzinom ze strony gestapo.

Szczególnie dziękuję moim Rodzicom, których szczególnie naraziłam na cierpienia i niebezpieczeństwo utraty życia. Im to właśnie dedykuję moje WSPOMNIENIA.

Por. Dr med. Danuta Kotyńska Kaniewska ps. "Wala"

Skład komputerowy
Janusz Skrobiś

przekazałam Zosi, chowałam w skrytce w ścianie, zakrywając je cegłami w niewykłóconej części naszego domu. Gorzej było z maszyną do pisania, którą ze względu na jej wielkość mogłam schować tylko do tapczanu. W czasie niewoli niemieckiej był całkowity zakaz posiadania w domu maszyn do pisania, i to pod dużą karą.

Szkolenia wojskowe odbywały się w łazowskich lasach na starym cmentarzu wojskowym z czasu pierwszej wojny światowej. Przychodziliśmy pojedynczo - taki był rozkaz - i pojedynczo rozchodziliśmy się. Ubrani byliśmy w płaszcz lub marynarki z kofmierzami postawionymi, w myckach lub beretach spuszczonej na oczy, niektórzy byli w butach oficerskich. Z daleka poznać w nas było żołnierzy, ale my byliśmy niestychanie odważni.

Na początku 1943 roku nastąpiły pierwsze aresztowania w Armii Krajowej Rejon Łazy. Gestapo aresztowało także mojego dowódcę sekcijnego Franciszka Dryjańskiego i jego brata Stanisława. Obaj byli katowani na gestapo w czasie śledztwa w więzieniu w Opolu i obaj zginęli w Oświęcimiu. Wtedy ostrzeżono nas przed planowanymi przez gestapo następnymi aresztowaniami. Trzeba było powiedzieć rodzicom o moich obawach, nie zdradzając im żadnych spraw Armii Krajowej. Zaczęłam nocować poza domem u moich dziadków, Karoliny i Filipa Kowalskich, na strychu w sianie. Dziadkowie mieli swój obszerny dom po drugiej stronie ulicy, naprzeciw naszego domu.

5-go września 1943 roku, po spędzonej nocy u dziadków, wróciłam do domu o godzinie 5-tej rano i zmęczona zasnąłam. Obudziło mnie uderzenie kolbą karabinową w głowę. Gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam nad sobą wykrzywioną twarz gestapowca, który krzychał do mnie z wściekłością: - Raus ! Z dużego pokoju dochodziły podniesione głosy w języku niemieckim innych gestapowców - było ich pięciu - i głos mojej biednej, przerażonej matki. Obok w pokoju zobaczyłam błądzą twarz mojej brata Zbyszka - stał nieruchomy, bezradny, ojca na szczęście w domu nie było - był w pracy. Wzięłam z szafy swoje osobiste rzeczy, pamiętałam o tym, żeby ciepłe, bo zdawałam sobie sprawę, że wywożę mnie do Oświęcimia, i wyszłam z pokoju małego do kuchni przez duży pokój, aby się umyć i ubrać.

Za oknem balkonowym zobaczyłam spacerującego żandarma z karabinem tam i z powrotem przed wejściem frontowym do naszego domu, a w dużym pokoju zobaczyłam trzech gestapowców zajętych dokładną rewizją. Jeden z nich był ubrany po cywilnemu - ten przegądał album z fotografiami, zabierając kilka moich zdjęć. Pozostali przeczucali wszystko w pokoju. Z przerażeniem pomyślałam o ostatnich wojskowych meldunkach, które wczoraj przyniosła mi Zosia, a ponieważ było już późno, sama schowała je za duży obraz przedstawiający "Kościuszkę pod Racławicami". Oby tylko ich nie znaleźli. Maszynę do pisania zdążyłam wczoraj zakopać w ogrodzie. W chwilę potem, jak wszedłam do kuchni, wsunęła się do niej cicho moja matka i szepnęła rozkazującym głosem: - Uciekaj natychmiast przez ogród, bo za chwilę będzie już za późno ! - Posłuchałam.

W przedpokoju nie było nikogo. Gestapowiec, który miał mnie pilnować, wszedł do szpiżarki i coś tam wyjadał, udając, że przeszukuje szpiżarnię. Matka moja wróciła do dużego pokoju, w którym byli gestapowcy, przymykając za sobą drzwi od przedpokoju, uchyliła drzwi od korytarza, ulatwiając mi w ten sposób ucieczkę. Najpierw powoli wysunęłam się z domu, a następnie jak szalona zaczęłam biec alejką prowadzącą do końca ogrodu, do furtki w płocie. Otworzyłam ją i starannie zamknęłam za sobą. Cały czas pędząc, czekałam na strzały

W dniu 8-go maja 1941 roku wstąpiłam do ZWZ. Zostałam zaprzysiężona przez moją koleżankę Zofię Noszczyk ps. "Marcin". Przybrałam pseudonim "Wala". Pamiętam, z ogromnym wzruszeniem powtarzałam za Zosią słowa przysięgi: "W obliczu Boga Wszehmogącego i Najświętszej Marii Panny, Królowej Korony Polskiej, kładę swe ręce na ten Święty Krzyż, znak męki i zbawienia, i przysięgam, że będę wiernie i nieugięcie stała na straży honoru Polski, o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć będę ze wszystkich sił, aż do ofiarnej mego życia. Wszystkim rozkazom władz Związku, będę bezwzględnie posłuszna, a tajemnicy niezłomie dochowam, cokolwiek by mnie spotkać miało".

Z ogromną radością i powagą słuchałam słów Zosi: "Przyjmuję cię w szeregi Żołnierzy Wolności. Twym obowiązkiem będzie walczyć z bronią w rękę o odrodzenie Ojczyzny. Zwycięstwo będzie twoją nagrodą. Zdrada karana jest śmiercią".

Zaprzysiężenie odbyło się w moim rodzinnym domu w Łazach przy ulicy Narutowicza 21, w którym mieszałam razem z bratem i rodzicami. Był to zdaniem wszystkich najładniejszy dom w Łazach. Niektórzy nazywali go "Belwederem" ze względu na jego piękny i dostojny wygląd.

W dniu zaprzysiężenia niewiele wiedziałam o organizacji ZWZ. Wiedziałam, że jest organizacją wojskową, ściśle tajną, mocno zakompirowaną, opartą na systemie trójkowym. "Trojki" ze sobą ściśle współpracowały. Zosia miała kontakt z Franciszkiem Dryjańskim, którego pseudonimu nie pamiętam. Dryjański był naszym sekcijnym w szkoleniu wojskowym i z nim razem stanowiliśmy "trójkę". Zdawałam sobie sprawę, że przygotowujęmy się do powstania zbrojnego - do walki z okupantem niemieckim.

Bezpośrednim moim dowódcą był partyzant ppor. rezerwy Marian Uplawa ps. "Roman". Bezpośredni kontakt codzienny miałam tylko z Zosią. Ona dostarczała mi materiały do przepisywania na maszynie i kreślenia oraz dotyczące kolportażu prasy konspiracyjnej. Materiały wojskowe: odpisy instrukcji wojskowych, rysunki broni i inne plany wojskowe były oczywiście tajne. Zosia dostarczała mi także rozkazy dotyczące między innymi akcji sabotażu. Całe wieczory, do późna w noc, spędzałam nad opracowywaniem zleconych mi zadań, na pisaniu na maszynie, na kopiowaniu rysunków broni, map i planów wojskowych. Przed rodzicami udawałam, że przygotowuję się do matury. Materiały przygotowane, zanim

gestapowców w plecy. W ręce trzymałam karczowo szczołeczkę do zębów. Strzałów nie było słychać, a ja oddalałam się coraz bardziej od mojego domu.

Pędziłam przed siebie łazowskimi uliczkami w kierunku torów kolejowych. Słyszałam bicie własnego serca. Z centrum miasteczka dochodziło ujadanie psów i krzyki gestapowców, co wskazywało, że aresztowania są w całym miasteczku. Nie miałam gdzie dalej uciekać. Zatrzymałam się przy furcie jakiegoś drewnianego płotu przy ulicy Dworcowej. Otworzyłam ją cicho i zamknęłam starannie za sobą. Podeszłam alejką tonącą w zieleni do małego domku i zapukałam do drzwi ganku. W drzwiach ukazała się bardzo miła pani Gałkowa, którą znałam tylko z widzenia. Wpuściła mnie do środka, a gdy jej opowiedziałam o moim aresztowaniu i ucieczce, natychmiast zaprowadziła mnie na strych i schowała w klatce dla królików, przykrywając ją sianem. Nie wiem jak długo siedziałam w tej klatce, straciłam poczucie czasu, byłam trochę zamroczona. Bałam się o matkę i brata. Wiedziałam, że gestapowcy są bezwzględni, często zabierają zakładników, a czasem strzelają do pozostałych domowników. Nareszcie usłyszałam kroki gospodyni. Nachyliła się nad klatką i cicho, bo dom był akustyczny, przekazała mi cudowną wiadomość, że moja matka i brat są w domu i że mam czekać na dalsze instrukcje do wieczora.

Było już zupełnie ciemno, gdy znowu usłyszałam kroki Gałkowej. Tym razem pozwoliła mi wyjść z klatki i zejść z nią razem na dół. Całe szczęście, bo byłam zupełnie zdrtwiała, nie mogłam się wyprostować, nie mogłam iść. Czulałam potworny ból mięśni, kości i całego ciała. Na dole w pokoju czekała na mnie moja ciotka Waleria Mrozińska. Opowiedziała mi o tym, co się w domu działo. Gestapowcy, gdy odkryli moją ucieczkę, wpadli we wściekłość. Ten, który był w cywilnym ubraniu, z wrzaskiem pytał moją matkę czystą polszczyzną - gdzie jest córka, równocześnie zamierzając uderzyć ją w twarz. Matka moja odchyliła głowę, by uniknąć ciosu, i odpowiedziała, że nie wie, że była cały czas z nimi. Rozwścieczony gestapowiec aresztował moją matkę i brata Zbyszka. Skulił im razem ręce kajdankami i kazał wyprowadzić ich z domu na ulicę pod strażą trzech żandarmów, jednego z przodu, a dwóch z tyłu z karabinami gotowymi do strzału. Poprowadzili ich w kierunku centrum, dołączając do innych aresztowanych. Grozili im wywiezieniem do Oświęcimia - Auschwitz. Pozostali gestapowcy przeszukali wszystkie okoliczne domy, a potem dołączyli do żandarmów, którzy prowadzili matkę i brata. Długo rozmawiali z nimi, a następnie zawrócili w ulicę, która biegła z tyłu naszego ogrodu. Tam przy ogrodzie naszym, na wysypisku popiołu, kazali matce i bratu kucnąć, zostawili ich pod strażą jednego gestapowca, a sami dalej szukali mnie w sąsiednich domach, ogrodach, piwnicach, strychach, z pistoletami gotowymi do strzału. Strasznie przy tym krzyczeli i grozili ludziom. Po bezskutecznym przeszukaniu okolicy główny gestapowiec wrócił do skutych, matki i brata, zdjął im kajdanki mówiąc: - Jutro do was przyjdziemy, a jak się zdiewucha nie znajdzie, to was aresztujemy. - Następnie ciotka przekazała mi polecenie, że o 23 godzinie mam być na torach kolejowych, gdzie spotkam się z ojcem i bratem. Ojciec przewiezie nas do Generalnej Gubernii pociągiem, który będzie sam prowadził. Ojciec był maszynistą kolejowym.

Lokomotywa cała była przesłonięta parą, którą umyślnie zrobił mój ojciec, żeby nikt nas nie mógł zobaczyć. Nie mieliśmy szczęścia. Pociąg, do którego mieliśmy wsiąść, był pociągiem wojskowym. Na parowozie i na wszystkich wagonach stali żołnierze niemieccy

11/8
pilnujący eszelonu. Musieliśmy zachować jak największą ostrożność. Ojciec zaprowadził nas do tendra od tyłu. Tender składa się z dwóch części. Ze zbiornika na wodę oraz z miejsca składowego na węgiel.

Ojciec kazał nam wejść do szczeliny znajdującej na dnie tendra pod zbiornikiem z wodą. Pierwszy wczolgał się Zbyszek, mój brat, a ja druga na brzuchu, bo miejsca było tylko tyle, żeby się wsunąć w pozycji leżącej. Było tam ciemno i wilgotno. Zaraz po wciśnięciu się do tej szczeliny ojciec zamknął za nami zasuwę. Byliśmy zamknięci w ten- drze. Biedny ojciec, co on musiał przeżywać w tej chwili.

Niebawem pociąg ruszył i wtedy woda w zbiorniku nad nami zaczęła się kołysać w takt jazdy pociągu. Wydobywając się szczeliną, zalewała nas od stóp do ramion. Ogarniało mnie coraz większe przerażenie. Ze strachu, żeby nas nikt nie usłyszał, nie mówiliśmy nic do siebie. Po jakimś czasie byliśmy całkiem mokrzy. Początkowo trzymałam głowę w powietrzu, ale zmęczenie spowodowało, że położyłam ją na wyciągniętych ramionach. Straciłszy rachubę czasu i orientację, gdzie jesteśmy. Dopiero gdy znaleźliśmy się w Poraju na granicy Rzeszy i Generalnej Gubernii, gdy usłyszeliśmy rozkazy Niemców pracujących na granicy, nawoływania i krzyki, oczekiwanie psów przy dokładnym przeszukiwaniu pociągu, zrozumieliśmy, że jesteśmy w tym miejscu, którego się najbardziej baliśmy. Na szczęście Niemcy nie zaglądali do tendra. Wreszcie ruszyliśmy dalej. Nadzieja uratowania się była coraz większa. Zapadaliśmy z bratem znowu w otep- nie, aż usłyszeliśmy szarpnięcie zasuw. Podmuch świeżego powietrza orzeźwił nas trochę. Był przy nas ojciec, szeptem kazał się nam wysuwać i w biegu wyskakiwać z pociągu, wtedy gdy narobi dużo pary przy lokomotywie. Z ledwością wyczolgał się ze szczeliny tendra. Wyglądaliśmy okropnie, czarni od węgla, mokrzy, w ubraniach zupełnie zniszcz- onych, drżeliśmy z zimna i strachu.

Pociąg zaczął zwalniać, parowóz syczeć, para zakryła nas wszystkim i wtedy na komendę ojca: - Teraz !- zeskokczyliśmy z tendra na ziemię, na szczęście szczęśliwie. W mroku nocy przez tory kolejowe w cieniu wagonów przeprowadził nas ojciec do centrum miasta Piotrkowa Trybunalskiego. Szliśmy bocznymi ulicami do domu pana Kapusty, sklepikarza, u którego wszyscy kolejarze z Rzeszy zaopatrywali się w żywność. Państwo Kapustowie musieli być bardzo dobrymi ludźmi i wspinałymi Polakami, bo bez waha- nia zgodzili się nas przechowywać przez najbliższe dni, aż ojciec nie wymyśli dla nas dal- szego schronienia na dłużej. Zbyszek był z mną krótko. Pan Kapusta tego samego dnia wieczorem zaprowadził go do swojego brata koło Piotrkowa Trybunalskiego, gdzie wkrótce nawiązał kontakt z kolegami z AK. Ja natomiast dopiero za tydzień dostałam wiadomość od ojca, że o wyznaczonej godzinie mam czekać na niego na przejeździe kolejowym w Piotrkowie Trybunalskim. Tam miał zwolnić na moment, a ja miałam w biegu pociągu wskoczyć do parowozu.

Z mocno bijącym sercem czekałam na przejeździe kolejowym na pociąg prowa- dzony przez ojca z Piotrkowa Trybunalskiego do Łaz. Wreszcie pociąg nadjechał, umówiony gwizdek "kukuryku", że to ojciec nadjeżdża. Na przejeździe pociąg zwolnił bieg, para pokryła cały parowóz. Mocne ramię pana Kapusty, który mnie odprowadził, wepchnęło mnie do parowozu, silne ramię ojca chwyciło w tym samym momencie za rękę. Pociąg przyspieszył bieg. Chwila oczekiwania w napięciu i potem ulga. Udało się.

Niemcy nic nie zauważyli, choć wagony z ładunkiem wojskowym eskortowane były przez wojsko i żandarmerię. Kilku ich było w bramkarce, tuż za parowozem. Ze łzami w oczach serdecznie witaliśmy się z ojcem. W telegraficznym skrócie opowiedział mi, co działo się w domu po moim aresztowaniu. Matka przez tę jedną noc po aresztowaniu osiwiata, ale trzymała się dzielnie, ukrywając się poza domem. Niemcy nachodzili nasz dom kilkakrotnie, ale nikogo nie zastawali w nim. Skończyło się tylko na zniszczeniu wylamywanych drzwi. Ojciec w ogóle nie wracał do domu. Wolny czas między wyjazdami spędzał w parowozowni. Niestety mieliśmy mało czasu na rozmowę.

Pociąg zbliżał się do Kłomnic, a ja miałam znowu wyskoczyć w biegu pociągu przy ostatnim domku dróżnika kolejowego, z którym ojciec mnie umówił. U niego miałam zapewnione schronienie. W pewnym momencie ojciec błady na twarzy, z oczami pełnymi łez, krzyknął do mnie: - Teraz skacz! - Nie było już czasu na żadne słowa pożegnania. Skoczyłam w parę na oślep, nic nie widząc, poczułam pod stopami trawę, instynkt samozachowawczy kazał mi przekoziółkować parę razy. Kolo mnie pędził już szybko oddalający się pociąg prowadzony przez ojca. Odważyłam się lekko podnieść głowę. Zobaczyłam ostatnie wagony, a w nich w otwartych drzwiach Niemców z karabinami w rękach gotowymi do strzału. Na szczęście nic nie zauważyli.

Szybko podniosłam się i skierowałam kroki w kierunku domku dróżnika. Pani dróżnikowa przywitała mnie słowami: - To pani od pana Jana Kotyń? - Uprzedzona przez ojca, już na mnie czekała. Poczęstowała mnie wspaniałą jajecznicą i zaraz potem odprowadziła do Kłomnic, do znajomego mojego ojca, który obiecał mi pomoc. U niego spotkałam Krysię Bugałównę z Bartkowiec i ona zabrała mnie do swego domu. Krysię i jej całą rodzinę znałam od najmłodszych lat mojego życia. Była córką wójta, dlatego miałam nadzieję, że wyrobi mi on w gminie potrzebne dokumenty umożliwiające poruszanie się po Generalnej Gubernii. Miała dwóch braci, Witolda i Władysława, oraz dużo młodszą siostrę Barbarę. Jej matka Władysława była wspaniałą, pracowitą kobietą, na jej głowie spoczywały wszystkie domowe obowiązki. A dom mieli bardzo duży, usytuowany na skrzyżowaniu dróg do Św. Anny i do Zawady. Do tego domu prawie rokrocznie jeździłam na wakacje sama lub z rodzicami.

Teraz szybko szliśmy z Krysią do tego domu, który miał być moim schronieniem. Chciałyśmy, aby nas jak najmniej osób widziało. Były to czasy, kiedy wszyscy się wszyscy bali. Gdy zbliżaliśmy się do jej domu, koło którego mieszkał nasz kolega Adam Kręć, powiedziała mi, że Adam poszedł do partyzantki i jest w Lasach Włoszczowskich. Przed wojną był harcerzem. Pani Włada na mój widok podniosła się, bo właśnie obierała ogromny garnek ziemniaków, uśmiechnęła się lekko, uściśnięła mnie, pocałowała i nie mówiąc zajęła się swoją pracą. Taka była zawsze. A jak już nic nie miała do roboty w gospodarstwie i w domu przy kuchni, tkęła przepiękne kilimy i zapaski, albo przędła nici z lnu. Krystyna wprowadziła mnie do naszego pokoju. Miałam spać z nią w jednym łóżku, w drugim spała Basia, a w trzecim jej rodzice. - Inaczej nie może być - powiedziała - bo wuj Adam jest z nami i zajmuje pokój razem z chłopcami.

Wuj Adam, inżynier leśnik, był nadleszczym u ks. Radziwiłła - tu prosto ukrywał się. Był to uroczy mężczyzna, bardzo przystojny i niezwykle towarzyski. Cały czas spędzał przy stole stawiając pasjansa. Zapewne bardzo tęsknił za żoną i córką, które

zostały w Nadleszczynie. Przy obiedzie miałam okazję porozmawiać z obu braćmi, Adamem i Romanem. Pana Romana Bugałę lubiłam. Był to potężny mężczyzna, nieco otyły, sympatyczny. Przywitał się ze mną serdecznie, a w jego oczach widać było nieukrywaną troskę o mnie. Po obiedzie poprosił mnie na rozmowę na osobności. Obiecał, że postara się mi pomóc, ale obecnie w związku z nowymi zarządzeniami w gminie są trudności. Trwa duża kontrola w związku z przeprowadzaną akcją poszukiwania Żydów, ukrywających się pod przybranymi nazwiskami. - Niemcy wciąż weszły przy meldunkach, nie ma swobody w pracy. - Powiedziawszy mi to, z głębokim westchnieniem wyszedł z pokoju, zostawiając mnie w czarnym nastroju.

Mijały mi dni na stawianiu pasjansów z panem Adamem, na pomaganiu pani Władzie w pracach domowych, na przedzeniu lnu i robieniu dla domowników swetrow na drutach. Pan Roman nic mi nie załatwiał w gminie. Byłam bez zameldowania i bez kennkarty. Czoło wójta coraz częściej zakrywały chmury. Był wyraźnie niespokojny, prosto się bał. Któregoś dnia poprosił mnie na rozmowę i bez żadnego wstępu powiedział mi, że nie może mnie dłużej trzymać w swoim domu i że będę musiała sobie pójść, i to natychmiast. Ogarnęła mnie rozpacz.

Co robić? Dokąd pójść? Do kogo się zwrócić? I nagle pewna myśl, jak olśnienie, przyszła mi do głowy. A może do państwa Jędrusiaków? Mieszkali tuż obok za domem Bugałów w pięknym, dużym pomalowanym na czarno domu w ogromnym sadzie, na górze, trochę z dala od wsi. Znałam przecież córki państwa Jędrusiaków, Kalinę (tę wspaniałą w 1993 r. zmarłą aktorkę) i Zosię. Przychodziły tu do Krysi przed wojną w czasie wakacji, bawić się ze mną. Zawsze mieszkaly w Częstochowie, do Bartkowiec przyjeżdżały tylko na wakacje z rodzicami. O panu Henryku Jędrusiku słyszałam, że jest to bardzo dobry i mądry człowiek, senator, nauczyciel, kierownik Szkoły Podstawowej w Gnaszynie, szkoły wzorcowo urzędzonej. Na lato do tego domu przyjeżdżało mnóstwo nauczycieli. Dom ten zawsze przyciągał moją uwagę, ale ja sama nigdy w nim nie byłam.

Decyzja przyszła nagle. Natychmiast postanowiłam opuścić dom wójta. Pożegnałam się tylko z panią Władą. Pociąkowałam jej za wszystko. Pozostałych domowników nie było w domu. Teraz szłam przez sad państwa Jędrusiaków, drogą porośniętą trawą. Po obu stronach drogi rosły ogromne krzaki dzikiej róży z niezliczoną ilością czerwonych, delikatnych kwiatów. A dalej koło domu, po jego drugiej stronie, gdzie były dwa wejścia, przez werandę i przez kuchnię, rosły ogromne krzaki róż pnących w kolorze czerwonym i różowym. Stały tam także ule i jakies zabudowania gospodarskie, w budzie na mój widok poruszył się pies, na schodach siedział piękny kot. Wszystkie okna były szczerle zamknięte okiennicami. Dom był znacznie większy, niż wyglądał z daleka. Prawdziwa piękna rezydencja letnia pana senatora.

Z mocno bijącym sercem otworzyłam drzwi prowadzące do kuchni. Przywitała mnie w progu pani Zofia Jędrusikowa, matka Kaliny i Zosi, śliczna brunetka. W twarzy pani Zofii, a zwłaszcza w jej pięknych oczach dostrzegłam coś, co mnie uspokoiło i dodało odwagi. Z miejsca poczułam do niej sympatię, jakbym przeznaczała, że ona odegra w moim życiu ważną rolę. Przedstawiłam się jej, że jestem koleżanką z Łaz Kaliny i Zosi i że bardzo pragnę zobaczyć się z panem Jędrusikiem. Pani Zofia oświadczyła, że dziewczynki są w Częstochowie, a pan Jędrusik będzie dopiero wieczorem w domu, ale że mogą tu na niego poczekać. Poprosiła mnie do pokoju, bardzo ładnie urządzonego, na stół podała wspaniałą wiejski chleb

z miodem i mlekiem. Swoją osobowością wytworzyła taką atmosferę, że sama nie wiedząc kiedy, opowiedziałam jej o moich kłopotach i zmartwieniach. Pani Zofia uspokoiła mnie, abym się nie martwiła, bo pan Jędrusik napewno mi pomoże.

Już było zupełnie ciemno, gdy przyszedł pan Henryk Jędrusik. Był to przystojny mężczyzna, średniego wzrostu, o poważnej twarzy z niebieskimi oczami, o wyglądzie dyplomaty. Nie zaskoczyła go moja obecność w jego domu. Z ogromną uwagą wysłuchał mojej wypowiedzianej niesmiałym głosem prośby. Z miejsca zdecydował, że mam zostać tu w tym domu, obiecał, że postara się mi o lewą kennkartę na inne nazwisko. W drugim pokoju, w salonie znajdował się fortepian. Z tego pokoju było wyjście na werandę, ale jak się później przekonałam, drzwi i okna tego pokoju, jak i innych, zawsze były zamknięte, na noc zastłonięte ciężkimi okiennicami. Dom osłonięty drzewami wydawał się bezpieczny.

Pan Jędrusik, był bardzo rzadkim gościem w domu. Na stałe z panią Zofią była tylko dziewczyna do pomocy i siostra pani Zofii. Tego dnia wieczorem, gdy kładłam się spać do wygodnego, pięknie pościelonego łóżka, byłam znowu pełna nadziei, że wszystko się dobrze ułoży.

Na drugi dzień przyjechała do Bartkowic Kalina. Piękna dziewczyna z ogromnymi niebieskimi oczami, pięknymi jasnymi, długimi do ramion włosami, r.
roztańczona. Po serdecznym powitaniu zaraz namówiła mnie, abym zagrała jej na fortepianie jakiegoś walczyka, co uczyniłam bardzo chętnie, a ona sama ku radości widzów: jej matki, ciotki i dziewczyny, tańczyła leciutko i wdzięcznie. Kalina uwielbiała wieś dlatego często przyjeżdżała do Bartkowic. Ponieważ w Częstochowie uczęszczała na tajne komplety, zapronowałam jej lekcje, żeby nie traciła czasu. Było przedpołudnie, siedziałymy w dużym pokoju przy stole. Kalina była odwrócona tyłem do okna, a ja przodem. Na stole były rozłożone mapy Polski i Europy. Przerabiałymy lekcję historii i geografii. Sluchając odpowiedzi Kaliny, patrzyłam w okno wychodzące na ogród. Wiedziałam przez nie błękitne niebo i zielen sadu, który ciągnął się daleko za domem. Nagle zastygłam z przerażenia. W oknie zobaczyłam twarz gestapowca, który zaglądał do wnętrza pokoju. Czulałam, że krew spływa mi do nóg, które w jednej chwili stały się ciężkie, jakby były z ołowiu. Kalina zdziwiona popatrzyła na mnie, widząc zmianę na mojej twarzy. - Niemcy tu idą - wymówiłam przerażonym głosem, zbierając drżącymi rękami mapy i książki ze stołu i kładąc je w nieładzie na ręce nie mniej przerażonej Kaliny. Kazałam Kalinie uciekać na strych i schować tam książki i mapy. Wypchnęłam ją za drzwi, czasu było nie wiele, bo Niemcy byli już w kuchni. Słysząc było ich głośną rozmowę z panią Zofią Jędrusikową.

Weszłam do sąsiedniego pokoju, w którym było zupełnie ciemno, bo okiennice były zamknięte, wcisnęłam się za drzwi koło fortepianu i z bijącym głośno sercem czekałam na wejście żandarmów. Byli już w pokoju, który przed chwilą opuściłam. Przesuwali meble, pewnie czegoś lub kogoś szukali. Nagle z hukiem drzwi się otworzyły do pokoju, w którym byłam ukryta. Usta moje szeptały słowa modlitwy do Matki Boskiej Częstochowskiej, dla której miałam zawsze wielki kult. Dygotałam z przerażenia. Otwarte drzwi mnie zastłoniły - co tam jest? - krzyknął Niemiec do pani Zofii. - Dlaczego tam jest ciemno? - wrzeszczał. - Zrobić światło! - rozkazał. Pani Zofia zapaliła w pokoju światło, żandarm otworzył okiennice i wtedy ów Niemiec wrzeszczący odważył się wejść do pokoju z karabinem przygotowanym do strzału. Pani Zofia, niezwykle opanowana, dała mi znać wzrokiem abym wyszła zza drzwi. - Kto to? - wrzasnął na mój widok żandarm. Zamarłam z przerażenia. - To moja córka - bez zasta-

nowienia, spokojnie odpowiedziała mu pani Zofia. Niemiec, dotykając karabinem brutalnie mojego ramienia, kazał mi wyjść do drugiego pokoju. Pani Zofia wyszła także za mną, a żandarmi, którzy byli w kuchni, weszli dalej, przeskakując wszystkie kąty. Następnie wtargnęli do biblioteki pana Henryka. Wyrzucili z regałów i szaf wszystkie książki na podłogę, szukając czegoś obciążającego. Do pana Henryka przychodzili chłopcy z lasu i osobę jego otaczał szacunek wszystkich ludzi w okolicy. Z panią Zofią patrzyłyśmy na siebie blade. Kalinka wysunęła się cicho z drzwi prowadzących na strych, była równie blada i przerażona jak my. Ona, kochająca koty, psy, muzykę, śpiew i taniec, patrzyła ze zdziwieniem i łękiem swym pięknymi, dziecięcymi jeszcze oczami na to, co się tutaj działo.

- A to kto?! - wrzasnął jeden z żandarmów, wychodząc z pokoju i wskazując ręką na Kalinę. - To także moja córka - odpowiedziała mu pani Zofia. Niemiec na szczęście nie kazał nam pokazywać dowodów osobistych. Uratowała mnie nieobecność Zosi i niezwykła odwaga i spokój jej matki. Niemcy musieli wiedzieć, że państwo Jędrusikowie mieli dwie córki. Liczba się więc zgadzała. To było dla nich wystarczające. Wrzeszcze wyszli.

Przede wszystkim musiałam zobaczyć się z panem Jędrusikiem. Całe szczęście, że właśnie dzisiaj byłam z nim umówiona na godzinę czwartą po południu w Kłomnicach w mieszkaniu prywatnym naczelnika poczty.

Wyszedłam dużo wcześniej na spotkanie. Szłam pomału bocznymi drogami. Budynek poczty znajdował się przy głównej drodze prowadzącej z Częstochowy do Warszawy. W budynku poczty mieściło się prywatne mieszkanie naczelnika poczty. Pan Henryk czekał już na mnie. Poprosił mię do gabinetu. Gdy tylko zamknął za mną drzwi, natychmiast powiedziałam mu o tym, że w Bartowicach w jego domu byli żandarmi, przetrucili wszystkich, pytali o niego. Widziałam, że zbladł, a rysy jego twarzy zaostrzyły się, zacisnął usta. Chwilę nic nie mówił. Potem, podając mi jakieś papiery, powiedział, że to jest kennkarta dla mnie na nazwisko Halina Malanowska. Była dobrze podrobiona, wyglądała jak prawdziwa, ale nie radził mi się spotkać z Niemcami, bo oni znali się na lewych kennkartach. Była także metryka urodzenia, którą musiałam dobrze przestudiować. Prosił, abym powiedziała pani Zofii, że do Bartowic już nie wróci i że jedzie do Częstochowy na ul. Św. Kazimierza. Mnie także polecił przyjechać do nich do Częstochowy najpóźniej jutro, zapewnijając mnie, że tam zastanowimy się, co dalej robić. Podał mi rękę na pożegnanie silnie ściskając moją dłoń. Tym uściskiem chciał dodać mi odwagi na wszystkie te dni, które mnie czekały, a wiedział, że będą one bardzo trudne.

Na drugi dzień po rozstaniu z panią Zofią, która zęgnęła mnie jak matka z oczami pełnymi łez, pojechałam do Częstochowy do Zosi pociągiem ze stacji Kłomnice. Pierwszy raz od chwili aresztowania w Łazach zetknęłam się znowu z tłumem ludzi. Dziwne to było uczucie. Musiałam opanować się, aby zachowywać się normalnie, jak inni ludzie, by nie zwracać na siebie niczyjej uwagi. W kieszeni kurezowo trzymałam nową kennkartę z nowym nazwiskiem. Musiałam zapamiętać o moim prawdziwym nazwisku. Wbijałam sobie do głowy nowe imię i nazwisko i wszystkie osobiste dane z nowej metryki urodzenia w Łucku. W kasie biletowej na dworcu kolejowym w Kłomnicach kupiłam bez żadnego problemu bilet kolejowy do Częstochowy i z tłumem ludzi wcisnęłam się do pociągu, który nadszedł z Piotrkowa Trybunalskiego. Usiadłam na ławce wśród podróżnych. Były to przerażające, niezwykłe opanowana, dała mi znać wzrokiem abym wyszła z zapaski z koszykami z wik-

liny, w których wiozły żywy drób na targ oraz nabiał. Wśród nich widać było licznych handlarzy, którzy nielegalnie pod marynarkami lub chustkami przewozili wędliny lub słoninę. Niewiele jechało robotników, którzy dojeżdżali do pracy, a tych można było poznać po roboczym ubraniu. W Częstochowie wysiadłam z bijącym sercem, na peronie ominając z daleka żandarmerów. Ulica św. Kazimierza, przy której mieszkała Zosia Jędrusiaków-
na, jest przeczną ulicą Dworcową do I-szej Alei NMP, następnie przejść przez most kolejowy do II-giej Alei i przejść przez całą II-gą i III-cią Aleję NMP, do parku tuż pod klasztorem na Jasnej Górze. Była to długa droga przez centrum Częstochowy, gdzie często chodziły patrole żandarmerii niemieckiej. Ale i tym razem udało mi się ich ominąć. Ulica św. Kazimierza to mała i cicha uliczka, a mieszkanie Zosi było na parterze i wchodziło się do niego wprost z ulicy. Tylko mała rabatka z jakimś krzewami oddzielała go od niej. Mieszkanie okazało się piękną garsonierą z łazienką i holem. Na Zosię patrzyłam z podziwem. Czarne włosy spadały jej na ramiona, cera śniada, oczy piękne, czarne, ogromne, natomiast cała postać mała, szczupła. Za chwilę wiedziałam o mnie wszystko, a o niej dowiedziałam się, że przygotowuje się na studia medyczne na tajnych kompletach. To było zresztą widać, po całym pokoju były porozrzucone kości ludzkie, tu czaszka, tam ręka. Pana Henryka Jędrusika jeszcze nie było. Zosia była wyraźnie przejęta moją sytuacją. W którymś momencie rozmowę przerwałam i postanowiłam na chwilę wyjść na zewnątrz. Podświadomie swoje kroki skierowałam na Jasną Górę do klasztoru, który znajdował się w pobliżu. Tam ukłękłam przed cudownym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej w ciemnym kolumny i rozplakałam się. Pozwoliłam łzom płynąć z oczu, tam nie miałam się ich wstydić. Tam wszyscy płakali. Po wyjściu z klasztoru usiadłam w sąsiednim parku na ławce. Co robić, gdzie się udać, gdzie zamieszkać. Byłam spalona, a więc niebezpieczna dla wszystkich. Narzątałam wszystkim, którzy mi pomagali. Czy miałam prawo dalej narzącać moich przyjaciół?

Nagle przede mną wyrosła jak spod ziemi wysoka postać mojego kolegi z Łaz, Mariana Pardeli. - Marian! - wykrzyknęłam z radością. - Danka! - ucieszył się na mój widok. Obiecał mi pomóc, sam był niedawno w podobnej sytuacji. Umówiliśmy się na wieczór, jak się ściemni, koło drewnianej altanki.

Słońce już dawno zaszło. Zapadła noc, gdy ukazał się Marian w umówionym miejscu. Jego niebieskie oczy, zawsze skóre do uśmiechu, były poważne. Usiadł koło mnie i cicho, chociaż o tej porze w parku częstochowskim było pusto, tłumaczył mi, gdzie mam pójść - tu wymienił nazwę ulicy i numer domu - objaśnił mi, że jest pierwsza ulica za ulicą św. Kazimierza, cicha niepozorna, wąska i że mam zgłosić się do pani Marii Wudeckiej. Podał mi hasło i powiedział mi, jaki ma być odzew. Pani Wudecka była uprzedzona o moim przyjeździe. Tam miałam spotkać się z kimś, kto zapozna mnie z pracą - zadaniem, jakie będzie miała do spełnienia. Oczywiście obowiązywała mnie tajemnica wojskowa. Zasnaczył, że nie wolno mi mówić nikomu, gdzie się zatrzymałam. Odchodząc, popatrzył na mnie jakos dziwnie i dorzucił: - Trzymaj się - i zniknął w mroku.

Z Zosią pozeгнаłam się krótko. Powiedziałam tylko: - Pozdrów ojca, dam znać o sobie, jak tylko będę mogła.

Za chwilę szłam ulicą, która miała mnie zaprowadzić do nowego "domu". Była krótka,

zaledwie kilka willi stało przy niej. Ta, do której szłam, była ostatnia, zupełnie na uboczu, dookoła były ogrody. Drzwi otworzyła mi młoda brunetka z czarnymi oczami, którymi przeszła mnie na wylot. Twarz energiczna, pociągła, rysy ostre. Rzuciłam hasło. Odzew był prawidłowy. Nie pytała o nic.

Mieszkanie składało się z dwóch pokoi, kuchni, łazienki i przedpokoju. Młoda brunetka uznała, że dla bezpieczeństwa będą spała w pokoju razem z jej kilkumiesięcznym synkiem. Ona będzie spała w pierwszym pokoju. Dalej instruowała mnie, że gdy ona będzie w pracy przed południem, ja będę zajmowała się dzieckiem i gotowała obiady. Na końcu oznajmiła mi, że jeszcze dzisiaj przyjdzie tutaj ktoś, kto wyda mi dalsze polecenia i komu będę podporządkowana bezpośrednio. Długo nie czekałam na tego, który miał przyjść, o którym się mówiło z pewną dozą szacunku i respektu.

Był niskiego wzrostu, szczupły, pociągłej twarzy, ciemny blondyn. Witając się ze mną polecił mi, bym go nazywała Władkiem, i oznajmił mi tonem nie znającym sprzeciwu, że znać się będziemy i spotykać tylko tutaj w domu. Poza tym dla mnie nie istnieje, nigdy na nią nie znam bez względu na sytuację, w jakiej się znajdzie. - Zrozumiałaś? - zapytał na zakończenie trochę łagodniejszym tonem. - Tak jest - odpowiedziałam dość energicznie. Skąd się u mnie to wzięło? Uśmiechnął się leciutko, ale tylko na sekundę. Od razu wzięliśmy się do pracy. Za chwilę pokój przeobraził się w pracownię. Na stole pojawiła się maszyna do pisania i mnóstwo pism, papierów, rulonów. Zapytał, czy umiem pisać na maszynie. Skinęłam głową. - To dobrze - powiedział - siadaj i pisz. Dzisiaj będę rozszyfrowywał szyfry sam. Jutro zacznę cię uczyć tej sztuki. - Dyktował mi słowo po słowie krótkie rozkazy, krótkie informacje. Siedzieliśmy długo, aż do godziny policyjnej. Krótko przed 22-gą wstał i rozkazał mi doręczyć przesyłki do trzech "skrzynek". Jedną skrzyńka mięściła się w aptece przy Alei Wolności, drugą skrzyńka mięściła się przy ulicy Waszyngtona, a trzecia skrzyńka przy ulicy Kilińskiego. Wszędzie obowiązywało inne hasło, jak również inny odzew. Musiałam się ich nauczyć na pamięć. Wychodząc Władek powiedział mi, abym pamiętała, że jestem spalona i że muszę być podwójnie ostrożna. O tajemnicy obowiązującej mnie nie miał mi przypominać. Tak się zaczęła moja nowa praca konspiracyjna w AK. Tym razem znacznie poważniejsza. Moim bezpośrednim przełożonym był major Władysław Tarchalski ps. "Marcin", który podlegał Władysławowi Motyce ps. "Grab".

Położyłam się spać kompletnie wyczerpana, ale szczęśliwa. Mały Jurek płakał w nocy nie dając spać. Uciszyliśmy go na zmianę z Marią. Przed południem następnego dnia, zabrał Jurka, nastawiłam na kuchni zapę cebulową na obiad. Na śniadanie miałam czarny suchy chleb i powidła. Byłam potwornie głodna. Wyglądało na to, że Marii było ciężko. Opowiedziała mi, że jej mąż Zbyszek zginął w Oświęcimiu - aresztowany przez gestapo. Był bardzo przystojnym mężczyzną, jego portret wisiał w pokoju.

Wieczorem robota paliła się nam w rękach. Władek był wyraźnie ze mnie zadowolony. Szybko przyswoiłam sobie tajemnicę szyfru. Na maszynie też pisałam biegle. Ale mnie wciąż ciągnęło do lasu. Próbowałam prosić Władka, aby dał mnie do lasu, ale nie chciał się zgodzić. - Mamy już jedną dziewczynę w lesie, to wystarczy - mówił. Tymczasem w Częstochowie było coraz więcej łapanek, na ulicach zbierano ludzi do tzw. bud. Liczne patrole żandarmerii kontrolowały dokumenty na ulicach. Trzeba było być zameldowanym i trzeba było mieć pracę, która chroniła przed łapankami na mieście i przed wysyłką na przymu-

Ktoregoś dnia Wladek podał mi adres, pod który miałam się zgłosić. Na ulicę Katedralną do pani Berszowej udałam się zaraz na drugi dzień. Na hasło wpuściła mnie do domu pani w średnim wieku, niskiego wzrostu. Zostawiłam jej swoją kennkartę i metrykę urodzenia. Miała mnie zameldować przy ulicy Berka Joselewicza 4, u państwa Miłskich. Poleciała mi przyjść jutro w godzinach wieczornych po dalsze informacje i zlecenia. ale jak się już dobrze ściemni. Upominała, abym uważała, jak będę wchodziła do niej, żeby mnie nikt nie widział. - Nic się nie martw - powiedziała na zakończenie i uśmiechnęła się do mnie.

Na drugi dzień wieczorem pani Berszowa wręczyła mi zameldowanie oraz adres, gdzie miałam uzyskać pracę. Natychmiast też zgłosiłam się na Berka Joselewicza 4, pierwsze piętro, lewa oficyna. Przyjęta zostałam bardzo miło przez państwa Miłskich, wysiedlenców z Poznania. Pokój mój był ostatnim w amfiladzie, trzecim. Ucieszył mnie daszek pod moim oknem, takie daszki na wypadek ucieczki bardzo się przydawały. Do fabryki knotów też się zgłosiłam. Otrzymałam pracę przy maszynie. Niestety, zaraz pierwszego dnia obcięłam sobie koniec palca maszyną. Krzyczałam, krzyczał majster. O mało nie zemdlałam. Na drugi dzień zostałam wezwana do samego dyrektora. Za biurkiem siedział bardzo przystojny młody mężczyzna i patrzył na mnie przyjaźnie. Zadał mi kilka pytań, jakie mam wykształcenie i skąd przyjechałam do Częstochowy. Odpowiedziałam z bijącym sercem, że ukończyłam trzy klasy gimnazjalne i że przyjechałam z Warszawy. Dyrektor wtedy mi oświadczył, że widzi, że ta praca jest nie dla mnie, bo nawet nie chroni mnie przed łapankami, i zaproponował posadę sekretarki u znajomego dyrektora Fabryki "Strug". Radził zgłosić się od razu jutro do dyrektora i powiedzieć, że przychodzę z jego polecenia. Wstał i podał mi rękę na pożegnanie. Podziękowałam mu i wyszłam z jego gabinetu. Co to ma wszystko znaczyć? Kim on jest naprawdę? Dlaczego chce mi pomóc? O tym się nigdy nie dowiedziałam.

Dyrektorem Fabryki "Strug" był Niemiec kulejący na jedną nogę. Właśnie amputacja jednej nogi była przyczyną, że został cofnięty z frontu na tył, jako inwalida. Urządził się w Częstochowie dobrze, zajął piękny dom Polakowi, którego wyrzucił do podziemnego mieszkania. Pięknie umeblował całą willę meblami, które specjalnie dla niego były zrobione w Fabryce "Strug". Przyjął mnie w swoim gabinecie bardzo uprzejmie, widać było, że spodobała się mu moja niemczyzna. Natychmiast podpisał moją prośbę o przyjęcie do pracy w charakterze sekretarki i natychmiast przystąpiłam do pracy. Biurko moje stało przy oknie, które wychodziło na ulicę, przy której stało więzienie. Katowano, mordowano tam bez przerwy najlepszych Polaków. Na początku ulicy stała niemiecka żandarmeria. Żandarmi byli przeważnie pijani. Bezczelnie z oblesnym uśmiechem patrzyli mi w oczy. Początkowo byłam przerażona, ale potem doszłam do wniosku, że może to i dobrze, że znam mnie z widzenia i żandarmi i gestapowcy, którzy także pijani chodzili przesłuchiwać naszych Polaków, będą bezpieczniejsza. Miałam poza tym wreszcie zaświadczenie dla SS-manów w razie łapanki czy kontroli. Byłam względnie bezpieczna.

Ktoregoś dnia pani Berszowa znowu mnie wezwała. Przekazała mi polecenie zgłoszenie się o wyznaczonej godzinie na zbiórkę szkoleniową AK. Ucieszyła się, że podjęłam pracę w Fabryce "Strug". - Świetnie się składa - powiedziała bardzo powważnie - mam ci przekazać zadanie do wykonania.

Otóż w południe, po wyjściu z pracy miałam przejść idąc wolno ulicą w odwrotnym

kierunku niż zwykle - jak najbliższej jezdni tuż przy więzieniu. Powinnam zauważyć gryps wyrzucony z okna więzienia na jezdnię i podnieść go niespotrzeżenie. W razie wpadki trzeba było gryps natychmiast połknąć. Zadanie było trudne, ale wiedziałam, że tylko ja je mogę wykonać, bo ani żandarmów, ani gestapowców, którzy obserwują ulicę i znają tam wszystkich przechodzących, moja obecność nie zdziwi. Gryps miałam doręczyć jak najspieszniej, bo dotyczył kontaktu z akowcami, którzy właśnie wpadli w ręce gestapo.

Na zbiórkę szkoleniową AK szłam ostrożnie, rozglądając się dookoła. Z ulicy Warszawskiej trzeba było skręcić w lewo w niewielką uliczkę i wejść w pierwszą drewnianą bramę wysokiego płotu, szczerlnie zasłaniającego podwórze. Furtka była lekko uchylona. Alejka prowadziła wprost do drzwi wejściowych. W domu w korytarzu drzwi były uchylone do mieszkania po stronie lewej. Tam czekała na mnie młoda dziewczyna. Powiedziała hasło. Odpowiedziała prawidłowo. Wprowadziła mnie do drugiego pokoju, gdzie było już zebranych kilkanaście dziewcząt. Zanim rozpoczęło się szkolenie, musiałam jeszcze raz złożyć przysięgę AK. Potem nastąpiła musztra wojskowa, ćwiczenia praktyczne, czytanie gazetki konspiracyjnej i ostatnie wiadomości na zakończenie. Było już ciemno, gdy wychodziliśmy z zebrania. Każdy osobno, ostrożnie, niezauważalnie. Pamiętam imiona uczestników: Hanka i Urszula, oraz nazwisko Lapisowie.

Na drugi dzień miałam wykonać trudne zadanie pod hasłem "gryps". O zwykłej godzinie wyszłam po pracy i skierowałam się do miasta (fabryka "Strug" znajdowała się na Zawodziu), nie jak zwykle w stronę prawą, lecz w lewą, w kierunku więzienia. Wiadomo było, że tam nikomu obcemu nie wolno było przechodzić. Przed więzienną bramą stała warta. Przybrałam moją twarz w uśmiech. Odczekałam przy bramie fabrycznej chwilę, żeby straż więzienna dostrzegła, że wychodzę z fabryki. Udało się. Popatrzyli w moją stronę. Ruszyłam pewna siebie, nawet nuciąc sobie pod nosem jakąś piosenkę, a wewnątrz serce biło mi jak młot. Przechodząc koto żandarmów, rzuciłam w ich stronę przelotne spojrzenie, oni uśmiechnęli się do mnie i jeden z nich powiedział: "-Was? Schon nach Hause? - skinełam im głową i powiedziałam "Ja", z uśmiechem, równocześnie rozglądałam się po ulicy i po chodniku. Nagle zobaczyłam na chodniku małą szarą kulkę. Tak, to był ten gryps. Skierowałam kroki w kierunku kulki, dyskretnie odwróciłam się, aby zobaczyć co robią żandarmi. Na szczęście byli zajęci rozmową ze sobą. Błyskawicznie podniosłam gryps i już nie oglądając się za siebie, szłam dalej czekając, co będzie. Skręciłam na ulicę Katedralną. W bramie budynku, w którym mieszkała pani Berszowa, odetchnęłam z ulgą. Przed wejściem do niej chwilę zatrzymałam się, rozglądając się, czy nikt mnie nie śledzi. Na szczęście nikogo podejrzanego nie widziałam. Czulałam, że pot ściekał mi po plecach, mimo, że na dworze nie było gorąco. Z radością wręczyłam pani Berszowej gryps. Popatrzała na mnie z uznaniem, przytuliła mnie do siebie serdecznie, bez słowa. A ja pomyślałam sobie: ktoś będzie uratowany, o ile uda się odbić go w czasie przejazdu na przesłuchanie w lochach gestapo przy ul. Kilińskiego, słynących z tortur. I w tym będzie moja małeńka zasługa.

W tym czasie dostałam także pierwszą wiadomość od moich rodziców. Odpisali na list, który wysłałam przez dróżnika kolejowego na przejeździe kolejowym w dzielnicy Częstochowy Ostatni Grosz. Umówiłam się przy rozstaniu z ojcem, że u dróżnika będę odbierała od niego wiadomości i przez dróżnika będę jemu przesyłała listy. To była odpowiedź na mój list. Kochani, drodzy rodzice. Ucieszyli się bardzo, że sobie radzę.

Przysłał mi także coś z ubrania i paczkę sacharyny, abym ją mogła sobie spieniężyć. W ten sposób pomagali mi finansowo. Wiedzieli, że żyję bardzo skromnie i że obiady jadam w jadalni w siostr zakonnych przy ulicy Jasnogórskiej.

Któregoś dnia wieczorem około godziny 20-tej pani Miłska powiadomiła mnie, że ktoś do mnie przyszedł. Były to takie czasy, że każde niespodziewane odwiedziny wywoływały niepokój. I tym razem pełna niepokoju podeszłam do drzwi wejściowych. Zobaczyłam w nich Adama Kręta z Bartkowiec ubranego w obszerny korczuch. Uśmiechnęłam się do niego radośnie i podałam mu rękę na powitanie. Bez słowa przeszliśmy przez pokój państwa Miłskich, obrzucani ciekawymi spojrzeniami dzieci. Pani Miłska natomiast stojąc w kuchni tyłem udawała, że jest czymś bardzo zajęta. Dopiero w moim pokoju uściskaliśmy się serdecznie, po bratersku. - O, i choinkę masz - powiedział Adam rzucając ciężki korczuch i zdejmując z ramion ręczny karabin maszynowy. Zauważyłam wtedy, że był bez ręki. Karabin położyliśmy na łóżku, na nim korczuch. Nastawiłam na piecyku-żelazniku czajnik z wodą na herbatę i usiadłam naprzeciw Adama. Tym razem już nic nie pytając w myśl zasady, że lepiej wiedzieć jak najmniej. Jasne było dla mnie, że wyszedł z lasu, ale po co? Adam jakby czytał w moich myślach powoli zaczął opowiadać jak w lesie w czasie bitwy stracił rękę. Dobrze, że nie życie. Zresztą co ono jest warte. I zwierzył mi się, że ma do wykonania rozkaz. Ma zlikwidować konfidenta, bardzo niebezpiecznego człowieka, przez którego dużo naszych ginie. Ucieszyłam się ogromnie jego odwiedzina i zapytałam jak to jest tam u nich w lesie. Ciekawiło mnie to, bo chciałam pójść do lasu, ale komendant mi nie pozwolił. Adam uznał, że komendant miał rację, że długo bym nie wytrzymała w lesie, w podłych warunkach, bez sprzętu, bez lekarza, bez jedzenia, w ciągłej ucieczce. - W jednej potyczce zostałam ranna. Nie było rany jak opatrzyć, wdała się gangrena i rękę trzeba było amputować. - Po chwili przerwał, widocznie nie chciał się rozczulać nad sobą. Popatrzyłam w jego jasne niebieskie oczy, kiedyś pełne ciepła, dzisiaj z ostrym błyskiem. Twarz jak dawniej, o ładnych rysach, pociągła, pokryta była dużym zarostem. Sylwetka wysmukła. Ubranie zniszczone, tylko buty piękne - saperki. Zauważył, że patrzę na buty, uśmiechnął się i objaśnił mi, że to zdobył wojenna. Postawiłam na stole herbatę, a do niej chleb i masło. Przy herbacie skierowałam rozmowę na mój temat. Wiedział, że jestem "spalona". Był dumny ze mnie, że nie wycofałam się z walki z wrogiem i że robię wszystko co mogę zrobić i na co moi komendanci pozwalają. Zamyslił się chwilę, a następnie rzekł głosem pełnym ciepła: - Danusiu, uważaj na siebie, szkoda by było, gdybyś miała zginać nie doczekawszy się wolności. - Potem trochę niespokojny, zaczął spacerować po pokoju. Zatrzymał się nagle i powiedział: - Na mnie już czas. Trzymaj się. Serwus. - Ucisnęłam go mocno bez słowa, bo wiedziałam, że nie wolno zrywać powodzenia w takim przypadku, bo coś mocno ścisnęło mnie w okolicy krtani, bo oczy wypełniły się łzami, a przecież nie mogłam się przy Adamie rozbezczeć, nie mogłam pokazać mu mojej słabości. Miałam mu dodać męstwa swoją postawą. Niestety to było nasze ostatnie spotkanie. Na drugi dzień został schwytyany na jednej z ulic Częstochowy przez gestapo i rozstrzelany. Nazwisko jego przeczytałam na "Afiszu Śmierci".
30 **Obwieszczenie wydrukowano czerwonymi literami, a wśród innych rozstrzelanych w tym dniu - jego nazwisko. Adam Kręt. piękny, złocisty harcerz, w długiej pelerynie oddał życie swoje młode za Ojczyznę.**

A w podwórku Berka Joselewicza 4 lokatorzy szeptali, że do panny Haliny znów przyszedł chłopiec z lasu.

Któregoś dnia spotkałam się w Częstochowie z moim bratem Zbyszkiem, który w dalszym ciągu ukrywał się w Piotrkowie Trybunalskim przed gestapo pod przybranym nazwiskiem Zygmunt Karpiński, a ostatnio Edward Mucha ps. "Janek". Dla AK wyrabiał lewe kennkarty i inne dokumenty razem z kolegą Eugeniuszem Hutnikiem ps. "Sep", również "spalonym" w Łazach. Dostarczali je do różnych skrytek kontaktowych, między innymi do Częstochowy, przy ulicy Katedralnej, do pani Berszowej. Ze względu na wpadkę i aresztowanie Eugeniusza Hutnika na terenie Śląska, Zbyszek musiał wyjechać z Generalnej Gubernii, aby zatrzeć za sobą ślady. Zgłosił się na roboty do Karwiny. 26 maja 1944 roku musiał przejść kwarantannę w Częstochowie, a ja miałam mu w tym pomóc, aby nie został odrzucony w czasie badań lekarskich. Pamiętam, że przez kontakt z AK dotarłam do lekarza o nazwisku Mleczek, który w czasie kwarantanny w Częstochowie pozytywnie zaopiniował wyjazd Zbyszka do Karwiny. Jak się później okazało był to dla mojego brata ostatni moment ucieczki przed gestapo, które po kilku dniach od jego wyjazdu do Karwiny przyszło go aresztować do mieszkania w Piotrkowie Trybunalskim.

Mijały dni pełne niepewności. Był to czas łapanek "na roboty" do Niemiec. W pracy w fabryce "Strug" układało się wszystko dobrze, aż któregoś dnia panna Gierzyńska, córka magazyniera fabryki "Strug", która pracowała w biurze w charakterze pomocy biurowej, podeszła do mnie i z naiwnym uśmiechem zapytała mnie, czy znam Firkównę z Łaz. Wczoraj była Firkówna u Gierzyńskich i powiedziała, że mnie zna bardzo dobrze, że jestem z Łaz i nazywam się Danusia Kotymianka, a nie Halina Malanowska. Czułam, że błędnie, ale zachowałam spokój i odpowiedziałam, że nie znam pani o tym nazwisku, nigdy nie byłam w Łazach, a nazywam się Halina Malanowska. Odwróciłam się do niej plecami, ona zaś odeszła z niepewną miną do swojego biurka. Czyży mi uwierzyła? Niestety, od tej pory nie miałam już ani chwili spokoju. Niepewność i strach przed zadenuncjowaniem to uczucia, które już do końca wojny mnie nie odstępowały. Wiedziałam, że jestem na łasce tych ludzi. W jakiś czas później, gdy wracałam do mieszkania przy ulicy Berka Joselewicza 4, w II Alei NMP, po prawej stronie, tuż przed mostem kolejowym, usłyszałam parę słów wypowiedzianych do mnie przez mijającego mnie mężczyznę. Mówił tonem rozkazującym, chociaż cicho, starając się, aby nikt tego nie zauważył: - Niech pani natychmiast ucieka! Za chwilę podejda do pani SS-mani aresztować panią. - Nogi ugięły się pode mną, a tu trzeba było uciekać. Mężczyzna niezadowolony, bardzo przystojny, przeszedł szybko na drugą stronę Alei, a ja nieznacznie przyspieszyłam kroku, skręciłam tuż za mostem kolejowym w prawo w ulicę Dworcową, a potem błyskawicznie przeszłam na drugą stronę ulicy i wpadłam w pierwszą boczną w lewo, w ulicę Katedralną, którą pędziłam jak szalona do domu pani Berszowej. Bez tchu dopadłam do drzwi jej mieszkania, oglądając się co chwilę za siebie, czy ktoś za mną nie biegnie, ale nikt mnie nie gonił. Kilka godzin przesiadałam u pani Berszowej, a następnie o zmroku w przebraniu starej kobiety wróciłam do domu przy ulicy Berka Joselewicza 4. Pani Miłska ze zdziwieniem spojrzała na moje przebranie, ale nic nie powiedziała.

Tak więc byłam ponownie spalona. Od tej pory wyłączono mnie dla bezpieczeństwa ze wszystkich akcji. Byłam bardziej czujna na ulicy, w pracy i w domu. Za domem rodzin-

nym i rodzicami tęskniłam coraz bardziej. Częściej odwiedzałam teraz moich starych przyjaciół Olenkę i Tadeusza Gawlikowskich. Z niecierpliwością oczekiwałam na Święta Wielkanocne, bo miałam się spotkać na granicy Rzeszy i Generalnej Gubernii w Żarkach z moją matką. Były to niezwykłe Święta. Pełne radości i nadziei, że lada dzień zmieni się wszystko u nas na dobre. Serce mi mocno biło, gdy zbliżałam się do granicy. Wstrzymywałam łzy, aby ich nie pokazać Niemcom, którzy mieli za chwilę zdecydować, czy będzie nam wolno chociaż na chwilę paść sobie w ramiona. Ale oni byli wyjątkowo łaskawi. Jak później dowiedziałam się, mamusia była przewidująca i zapobiegliwa. Litr spirytusu i kielbasa załatwiły sprawę. Niemcy pozwolili nam na półgodzinną rozmowę. Kiedy znalazłam się w ramionach matki, łzy strumieniami lały się nam po twarzach, a głośno szloch nie pozwolił nic mówić. Po chwili dopiero zaczęło się opowiadanie o wszystkim, co przeżyliśmy od czasu rozstania, bo pisać o tym nie było można. Zegnalysmy się po godzinie, bo przedłużono nam spotkanie, z nadzieją spotkania się znów na granicy w Poraju koło Częstochowy na Boże Narodzenie i z cichą nadzieją, że może nastąpi to wcześniej, że wreszcie ruszy ofensywa.

I znowu każdy dzwonek do drzwi gospodarzy elektryzował mnie. Czy po mnie już idą gestapowcy? Każda nowa twarz w biurze Fabryki "Strug" była dla mnie podejrzana. Warszawa biła się o Wolność. Ginełi Warszawiacy. Płonoło miasto. Do Częstochowy zaczęli napływać pierwsi uchodźcy z walczącego miasta. Któregoś dnia dostałam od dowódcy rozkaz zakonspirowania na jeden dzień w moim pokoju przy ulicy Berka Joselewicza 4 - Szeffa Wojskowej Służby Kobiet AK (mjr Maria Wittek ps. "Mira" - obecnie generał), która po upadku powstania musiała opuścić Warszawę. Ody było się to w wielkiej konspiracji. Widziałam ją tylko chwilę, witając i oddając do jej dyspozycji mój pokój.

W Częstochowie zrobiło się "gorąco". Napięcie nerwowe udzielało się wszystkim. SS-mani byli coraz bardziej bezlietni dla areztowanych. Raz po raz rozstrzeliwali zakładników. Niemcy zaczęli wszystko, co się dało, wywozić pociągami do swoich domów w Niemczech. W konspiracji praca nie ustawała. Jeszcze raz zaryzykowałam spotkanie z moją matką na granicy GG z Rzeszą w Poraju koło Częstochowy na Boże Narodzenie w 1944 roku. Tym razem celniccy niemieccy, przekupieni przez matkę spirytusem, pozwolili nam na dłuższe spotkanie w sąsiednim przygranicznym budynku. Gdy zapukałyśmy do drzwi obcych ludzi z prośbą o gościnę, abyśmy mogły swobodnie porozmawiać, bez wahań zostaliśmy przyjęte i ugoszczone gorącą herbata, podaną do świętecznego ciasta, które przywiozła ze sobą moja matka.

Od matki dowiedziałam się, że w domu w Łazach SS-mani raz po raz nachodzili rodziców sprawdzić, czy ja lub mój brat Zbyszek nie ukrywamy się w domu. Za każdym razem wyłamywali drzwi, ponieważ rodzice ukrywali się także poza domem u rodziny. Ojciec płacił Niemcom i Polakom haracz za to, aby jak najczęściej był wysyłany na długie trasy do Generalnej Gubernii, chciał chociaż za pomocą listów lub paczek mieć z nami kontakt. Nie przeczuwałyśmy wtedy, że koniec wojny jest taki bliski.

Tak zwane "wyzwolenie", które jak się potem okazało, wcale dla Polski nie było wyzwoleniem, przyszło nagle. W godzinach przedpołudniowych przeleciało nad Częstochową kilka samolotów niemieckich w szyku bojowym, budząc wśród nas przerażenie i

równocześnie nadzieję. Szeff fabryki był nieobecny. Po drodze do domu wstąpiłam do sklepu tekstylnego i kupiłam sobie jakiś ładny materiał na sukienkę. Udzieliła się i mnie gorączka kupowania. Od kilku dni częstochowianie wykupywali ze sklepów dostawnie wszystko, pozbywając się pieniędzy.

Po obiedzie wstąpiłam na chwilę do swojego pokoju. Państwa Miłskich nie było w domu. Na chwilę wyszłam do sklepu spożywczego na Berka Joselewicza, kilka domów dalej za naszą bramą, i tam się zaczęło. Właśnie sprzedawczyni zatawiała mnie, gdy na ulicy rozległy się strzały armatnie, tuż koło sklepu. Natychmiast poleciały szyby z okna wystawowego. Wśród kupujących w sklepie powstała panika. Kierowniczką sklepu natychmiast zaryglowała drzwi frontowe i zasłoniła okna. Pogasiła światła, a nam zaproponowała pójść do swojego mieszkania, które mieściło się na pierwszym piętrze nad sklepem. Byliśmy tam jednak krótko. Walka na ulicy wzmagła się z każdą chwilą. Słychać było jakąś inną broń i warkot samolotów. Było coraz bardziej niebezpiecznie. Ktoś krzyknął: - Do schronu! Zabrać ze sobą świece! - Razem z grupą ludzi, przemyskując pod murem domu zeszedłam do piwnicy, mieszczącej się w prawej oficynie.

W piwnicy już znajdowało się mnóstwo ludzi. Wszyscy byli przerażeni. Ciemności rozjaśniały tylko nieliczne palące się świece. - Zamknąć drzwi! - ktoś krzyknął na nas. - Szybko wchodzić! - ktoś dorzucił. Rozległ się płacz jakiegoś dziecka. Nagle cały budynek zakotłował się od uderzenia pocisku i posypał się tynk, kamienie. Potem zapanowała cisza, która trwała kilka godzin. Działa uciły, ludzie rozmawiali szeptem. Zapadł wieczór, kiedy postanowiłam wyjść z piwnicy. Pomału wysunęłam się na podwórze, doszłam do bramy wyjściowej, wysunęłam głowę i stwierdziłam, że na ulicy stoją dwa działa wyglądające jak czolgi, wokół nich kręcą się żołnierze rosyjscy. Wyszłam na ulicę śmielej i szłam w kierunku bramy nr 4. Ulica wyglądała jak po bitwie, pełna gruzów i stłuczonego szkła. Obok naszej bramy leżał trup niemieckiego żołnierza. Nikt mnie nie zatrzymał. Wszłam w swoją bramę i już pędem pobiegłam do mieszkania państwa Miłskich.

Jeszcze kilka dni odczekałam, a potem pieszo, trochę furmanką, nie bacząc na śnieg i duży mróz, wróciłam do rodzinnego domu w Łazach. Po drodze mijałam pola zasłane trupami żołnierzy niemieckich i radzieckich, leżeli w różnych pozach - tak jak ich śmierć zastała, zamarnięci, sini, niemi. Na drugi dzień o świcie stanęłam przed moim pięknym, rodzinnym domem, który tonął w czysy poranku, otulony wysokimi tujami pokrytymi puszystym śniegiem. Tam czekała na mnie matka. Dla mnie wojna się skończyła.

Koniec

Lista znanych Autorce Żołnierzy ZWZ/AK Rejon Łazy

1. Franciszek Dryjański: aresztowany przez gestapo w 1943 roku, więziony w Opolu, zamordowany w Oświęcimiu.
2. Stanisław Dryjański: aresztowany przez gestapo w 1943 roku i zamordowany w Oświęcimiu.
3. Władysław Sił ps. "Las": od 5 X 1943 roku więziony obozu w Oświęcimiu Nr 14611. Od 15 VIII 1944 roku więziony Buchenwaldu Nr. 79996 /do 9 V 1945 r./.
4. Marian Uptawa ps. "Roman", partyzant 74 p.p. Armii Krajowej, dowódca drużyny.
5. Zofia Noszczyk ps. "Marcin".
6. Major Władysław Tarchalski ps. "Marcin".
7. Zbigniew Kotynia ps. "Janek": aresztowany razem z matką w Łazach w dniu 5 IX 1943 roku, po warunkowym wypuszczeniu z rąk gestapowców ucieka do Generalnej Gubernii, gdzie nadal pracuje w konspiracji pod fałszywym nazwiskiem "Edward Mucha" i "Krajewski Zygmunt".
8. Eugeniusz Hutnik ps. "Sęp".
9. Marian Pardela.
10. Lucyna Kochańska Uptawa ps. "Ewa".
11. Lucjan Kowalski.
12. Władysław Motyka ps. "Grab".



IV. Korespondencja:

- 17. 12. 2001 - list dokumentacyjny Sylwii Grochowiak do Dawuty Kotyńska-Kamińskiej. Rkp. kserokopia, k. 1, s. 1.



Szanowna Pani !

Zwracam się do Pani z uprzejmą prośbą, ażeby zechciała Pani napisać relację na temat swoich losów wojennych. W naszym archiwum posiadamy jedynie Pani wspomnienia wydane w Krakowie w 1994 roku. Zależy nam bardzo na tym, ażeby napisać Pani relację według załączanego schematu. Może mogłaby również Pani przestać nam jakiegokolwiek dokumenty oraz zdjęcia poświadczające Pani losy wojenne. Ewentualne zdjęcia proszę opisać na odwrocie. Materiały takie uzupełniłyby Pani teczkę osobową o numerze inwentarzowym 1248 IWSK, a ponadto są one niezwykle cenne dla badaczy problematyki.

Serdecznie zapraszam do współpracy i czekam na przychylny odzew z Pani strony. Współpraca z każdą osobą pomagającą nam w ocaleniu od zapomnienia losów kobiet-zołtnierzy jest dla nas bezcenna.

Pozdrawiam i Łączę wyrazy
szacunku

mgr Sylwia Grochowina
Dokumentalistka Działu
WSK

Załączniki
1. Schemat relacji WSK

Kotynia-Kaniewska



J. 1248/WSK

AK
Kraków

KOTYNIA-KANIEWSKA Danuta

ps. "Hala"

Źr. Materiały - wspomnienia

IV. Wypisy ze źródeł -
Nazwiskowe karty informacyjne 1-

J. 1248/45K

AK
Łazy k/Zawier-
cia

Czystochowa

Kotyń-Kaniewska Danuta
ps. "Wala", "Halina Malanowska"
ur. 18.IV.1922r. w Łazach, córka Jana i
Stanisławy Kowalskiej.

Do ZWZ AK wstąpiła 8.V.1941r. - łączniczka
kolporterka prasy konsp. 74 pp Rejon Łazy.
Przeszła szkolenie wojskowe i sanitarne pod
dow. oficera WP ppor.rez. Mariana Kpławy ps.
"Roman", dowódcą drużyny był Fr. Dryjański.
Aresztowana przez gestapo w dn. 5.IX.1943r.
zdołała uciec.

W okresie od 6.IX.1943 do 15.I.1945r. praco-
wała w Okr. Czystochowa pod d-ctwem Władysława
Motyki ps. "Grab" jako szyfrantka, grypsantka,
kolporterka, łączniczka, później partyzant
w 1 batalionie "Las" 74 pp 7 dywizji AK.
Komendantem głównym partyzantki w Okr. Czysto-
chowa był mjr Mieczysław Tarcholski ps. "Marcin",

d-cą 7 dywizji płk Czesław /Gwidon Kawiński.

Po wojnie ukończyła studia medyczne - specjal.
laryngolog. Pełni funkcję prezesa St.Ż AK w
krakowie.

Adres: 31-027 Kraków
ul.
tel.

Zródło: kartoteka i teczka nr. 10 Stowarzyszenia
Żołnierzy AK w Krakowie.

Odnaczenia:

Krzyż Armii Krajowej

Krzyż Partyzancki

Odnaka pamiątkowa

"Akcja Burza"

K.Wojt., 2000r.

Wd 3607 WSK/2000

IEJ
wej
186



*Miasto
150*



Do teezki 1248/48K

**Pani Kotyniá-Kaniewska
Danuta
ul.
31 - 027 Kraków**

KOTYŃIA - KANIĘSKA Donuta

